



Ewa Pelzer

# Narodziny przyjaźni

III edycja konkursu

*Jelenia Góra i ziemia jeleniogórska we wspomnieniach mieszkańców*

Jelenia Góra 2021

## NARODZINY PRZYJAŹNI.

Drzwi klasy skrzypnęły cichutko i ukazała się Ona. Nieśmiało podeszła do wychowawczynie, która przedstawiła dziewczynę jako naszą nową koleżankę. Od tej chwili uczennicę II klasy Liceum Medycznego w Jeleniej Górze przy ulicy 22-go Lipca. Roma zajęła miejsce przede mną. Wszystkie przyglądałyśmy się jej z uwagą. Była bardzo ładna. Ciemne włosy, lekko skośne oczy w kolorze głębokiej szarości, namiętne usta i kształtny arystokratyczny nos nadawały jej wachlarz cech urody mieszanych nacji. Wzbudziła moje zainteresowanie. Z czasem poznałam ją bliżej. Była odważna, obyta ze światem młodzieży, zarówno kobiecej jak i jej męskiej części. Ja, dziewczyna ze Szklarskiej Poręby, wychowana w konserwatywnych zasadach, jakich wymagano od dzieci z tzw. dobrego domu, przybyłam do dużo większego miasta, nieprzygotowana zupełnie do nowych wyzwań. Roma miała chłopaka z którym chodziła na randki, do kina, na kawę i fajfy do młodzieżowego klubu „Relaks”, który mieścił się nieopodal Kościoła Garnizonowego. Ta dziewczyna była dla mnie uosobieniem wolności i odwagi, mogła wracać do domu bez wymówek rodziców i bez lęku, że będzie skarcona. Chciałam się z nią zaprzyjaźnić, by wejść choć w część tej jej wolności. Zdawałam sobie jednak sprawę, że jestem pełna obaw, bowiem nie należałam do ładnych dziewcząt. Obsypana trądzikiem, który zawładnął moją twarzą, wstydziłam się poznania jakiegoś chłopaka, odrzucenia, które pogłębiłoby i tak niskie poczucie wartości, które przybyło ze mną do nowego miejsca zamieszkania. Roma była jednak nieugięta. Dla niej nie było przeszkód. Poznała mnie z Jurkiem, z którym umawiałam się kilka miesięcy, ale nie czułam do niego nic innego, oprócz koleżeństwa i nikt z nas nie potrafił zrobić pierwszego kroku w kierunku narodzenia się jakiejś innej relacji, bo nieśmiałość była naszą wspólną cechą. Ona imponowała mi. Rozmawiała z chłopakami, patrząc im prosto w oczy, żartowała, kokietowała, czuła się po prostu swobodnie. Wiodła prym, a ja starałam się za nią nadażać, chociaż gdzieś w środku mojego jestestwa wiedziałam, że często przekracza granicę dobrego smaku, potrafi być bardzo złośliwa i bawić się uczuciami ludzi, to jednak wolność, z której umiała korzystać, pociągała mnie jak zakazany owoc. Siedziałyśmy w jednej ławce w szkole,

na przerwach biegałyśmy do baru mlecznego „Karzełek”, na barszcz czerwony z fasolką, który był tam jedyny w swoim rodzaju. Kupowałyśmy kompot z renglod, ustawiając słoik między krzesłami, rękoma wyciągałyśmy śliwy, by wypić na końcu ten płyn po wymoczonych rękach, Na hasło „wagary” byłyśmy pierwsze. Odwiedzałyśmy z całą klasą tzw. „Grzybek”, czyli Wzgórze Krzywoustego, gdzie dziewczyny czasem próbowały smaku papierosów albo wina. Robiłyśmy dowcipy nauczycielom. Jednemu z nich, który chodził zawsze w czarnym garniturze, kruszyłyśmy kredę na krześle, na którym siadał, albo wieszałyśmy mu długie blond włosy na czarnej marynarce, by żona była zazdrosna. Ot, młodość chmurna i durna.

Nauka w naszej szkole składała się z teorii i praktyki. Trzeba było przyswoić wiedzę z 33 przedmiotów. Poziom był bardzo wysoki. Na praktyki do szpitala chodziłyśmy w szarych fartuchach, na które nakładane były tzw. białe krzyżaki. Wszystkie dodatki były śnieżnobiałe i wykrochmalone. Włosy musiały być spięte by nie przeszkadzały nam i pacjentom, paznokcie krótko obcięte, a na nogach podkolanówki lub skarpetki, bo nie wolno było mieć gołych stóp. Oczywiście buntowałyśmy się trochę przeciw tym wymogom, które były zwyczajnie staroświeckie dla nas. Faktem niezaprzeczalnym zaś było, iż ten strój był piękny, wyróżniał nas wśród innego personelu w szpitalu a szczególnie zachwycał ludzi, kiedy szłyśmy w ówczesnie organizowanych pochodach pierwszomajowych. Wśród tłumu wyróżniałyśmy się tylko my, uczennice Liceum Medycznego i uczniowie Szkoły Radiotechnicznej, którzy paradowali w mundurach. W II klasie, po zdaniu praktyk, otrzymywałyśmy jeden wąski pasek na czepku ,w trzeciej dwa paski, w czwartej trzy, zaś w piątej, po zdaniu dyplomu, jeden poprzeczny, szeroki pasek, który dawał nam tytuł pielęgniarki dyplomowanej. Paskowanie było swoistym świętem jak wchodzenie po drabinie społecznej. To namacalne zdobywanie naszego małego Everestu.

Przyjaźń z Romą trwała. Razem byłyśmy w szkole i razem popołudniami. Należałyśmy do „paczki” cieszącej się ogólnym uznaniem. Bawiliśmy się w „Kosmosie” przy zajezdni, w „Kwadracie” przy Placu Bieruta gdzie stał pomnik rosyjskiego żołnierza, który uratował życie dziecku. Młodzież umawiała się na randki pod tym pomnikiem, potocznie zwanym „Iwanem”. Dzisiaj pozostało to tylko w nostalgicznych wspomnieniach.

Nasza przyjaźń z Romą zacieśniała się. Nie odwiedzałyśmy się w domach. Ona była u mnie kilka razy, ale mama tolerowała moje koleżanki według swoich kryteriów. Roma nie pasowała do nich. Ja natomiast nie znałam jej rodziców.

Nadszedł dzień kiedy opowiedziała mi więcej o sobie.

– Wiesz – mówiła, *ja jestem dzieckiem adoptowanym. Ale to jest takie dziwne... nie do końca adoptowanym. Mój tato miał romans z pewną kobietą, która zaszła z nim w ciążę. Wkrótce po moim narodzeniu kobieta przyniosła mnie do domu ojca, który nie miał dzieci ze swoją żoną. Byłam owocem romansu mojego taty. Zostałam z nim i jego żoną, która mnie przyjęła. Moja biologiczna matka przychodziła do nas przez rok, by karmić mnie piersią. Mama, która mnie wychowywała, była dla mnie dobra, zapewniała opiekę jakiej potrzebuje dziecko, ale była chłodna, nie okazywała mi miłości.*

*Do rozmówców zawsze mówiła, że jestem jej wychowanicą, nie córką. Było mi przykro, kiedy tak nazywała mnie na wywiadówkach w szkole. Biologiczna matka odwiedzała nas czasem, ale chyba bardziej, by spotkać się z ojcem. Mnie była obojętna. Gdy coś przeskrobałam, jak to się zdarza wszystkim dzieciom, mama straszyla mnie, że odda mnie matce, która mnie urodziła. Była to dla mnie straszna groźba, bo tam było dużo dzieci, z których każde miało innego ojca, bieda i nieporządek. Mój tato nie bardzo się mną interesował, u niego też nie mogłam szukać pocieszenia.*

Byłyśmy z Romą w tym samym wieku, ale wiadomość którą podzieliła się, wstrząsnęła mną. Nie wiedziałam jak zareagować, zrozumiałam jednak, że jej odwaga, ta wewnętrzna wolność, którą prezentuje jest próbą szukania przynależności do kogoś, kto stanie w jej obronie i będzie ją prawdziwie kochał. Taki był jej chłopak Błażej. Był dla niej dobry, zawsze patrzył na nią oczyma, pełnymi miłości, zaryzykowałby dla niej dużo, jeśli taka by zaszła potrzeba. Roma, świadoma jego uczuć, pozwalała sobie na niewybredne żarty względem niego, obrażała się i kazała przeproszać. Powiem szczerze, że były chwile, kiedy byłam na nią wściekła. Nigdy nie zapomnę jak z całą paczką poszliśmy do probierni win na ulicy Sobieskiego, gdzie czasem degustowaliśmy po kufelku rieslinga, a Roma patrząc na mnie powiedziała przy wszystkich:

– *Bogna kiedy przestanieś obgryzać paznokcie?* Rumieniec wstydu zalał moją twarz, bo nigdy nie czułam się tak upokorzona. Albo zbliżała długi paznokieć do mojego policzka, a gdy spoglądałam w inną stronę, nagle wołała mnie. Ja odwracając się ku niej, nadziewałam się na długi paznokieć. Ona przyjmowała to jako doskonałe żarty, ja jako młodzieńczą złośliwość i pragnienie zwrócenia na siebie uwagi. Nie przejmowała się tym, że zadaje komuś ból. Czasem kłóciłyśmy się, ale po kilku dniach znowu następowała zgoda. Roma była dominującą w naszej przyjaźni.

Na początku III klasy zmarł ojciec Romy. Została z mamą, która miała ponad 70 lat. Jej mama chorowała na serce i leżała na oddziale wewnętrznym. Roma miała praktykę na pediatrii, ja na chirurgii. Był to czas, kiedy pokłóciłyśmy się bardzo i co najmniej miesiąc nie odzywałyśmy się. To był dzień, kiedy Roma miała wolne, 8 marca. Podeszła do mnie

instruktorka i powiedziała, że mam jechać do domu Romy i powiadomić ją o śmierci jej matki. Jechałam autobusem i zastanawiałam się jak można powiadomić przyjaciółkę o tym, że jej matki już nie ma. Byłam zła na instruktorkę i na cały świat. Dobrze, że był z nią Błażej. Wróciliśmy do szpitala, by Roma mogła pożegnać się z mamą. Czy mogłam ją zostawić na podwórzu szpitalnym? Jak mogła iść do pustego domu z tą straszną myślą o utracie matki, gdzie czekał na nią tylko pies.

Ja dobrze znałam moją mamę, była w tym okresie szczególnie nerwowa. Po przeprowadzce do Jeleniej Góry musieliśmy zaciągnąć dużą pożyczkę na remont 100-metrowego mieszkania i z pieniędzmi było bardzo krucho. Mama nigdy nie pracowała i mimo tego, iż tato był dyrektorem jednego z zakładów, ciężko było sprostać potrzebom rodziców i dwóch nastolatk, miałam bowiem młodszą o cztery lata siostrę, ale nie mogłam pozwolić Romie wrócić do pustego domu! Poszliśmy po Dżeka, jej owczarka niemieckiego i wraz z nim, idąc przez całą Jelenią Górę dotarliśmy do mojego mieszkania. Dżek, smutny, położył się w przedpokoju. Wprowadziłam Romę do pokoju stołowego, czyli dzisiejszego salonu i powiedziałam mamie o całym tym, tak bardzo nieszczęśliwym zdarzeniu. Podawała nam obiad i powiedziała, że porozmawiamy, jak tato wróci z pracy.

Roma popłakiwała, nie bardzo wierząc w to, co się stało. Ja natomiast zastanawiałam się, co z nią będzie. Nie może przecież mieszkać sama, ma dopiero 16 lat. Czy będzie musiała iść do domu dziecka? Czy też będzie mogła być sama? Dzielnica w której mieszka, nie jest bezpieczna. Jeśli otrzyma niewielką rentę po rodzicach, nie stać ją będzie na utrzymanie mieszkania, zaspokojenia codziennych potrzeb i rzeczy, potrzebnych do szkoły.

Po dłuższej chwili weszli do salonu rodzice i mama powiedziała:

*– Romo, zostaniesz u nas do skończenia szkoły i znalezienia sobie pracy. Dżeka umieścimy gdzieś w dobrym miejscu na pobliskiej wsi. Oddamy tobie i Bognie naszą sypialnię i tam urządzicie sobie pokój. Będziemy cię traktować jak córkę, a ty będziesz przestrzegać zasad tego domu. Rentę po rodzicach wydasz na swoje potrzeby.*

Mój ukochany tato uśmiechnął się ciepło. Wspaniały, dobry, pełen szacunku i miłości tato, który zawsze będzie mi przypominał Pana Dulskiego z „Moralności Pani Dulskiej”, bo podobnie, jak on, często spacerował wokół stołu z książką, którą aktualnie czytał.

Wszyscy, na czele z Błażejem, pomogliśmy zorganizować pogrzeb mamy Romy. Byliśmy przy niej obecni w czasie tej jakże smutnej ceremonii. Moi rodzice, siostra i nawet pies pokochaliśmy Błażeja, który spędzał u nas dużo czasu, a że lubił kuchnię mojej mamy, więc ta okazywała mu dużo sympatii.

Roma zwracała się do moich rodziców, „ciociu” i „wujku”.

Mimo braków finansowych rodzice nie zastanawiali się nad przyjęciem Romy do rodziny. Ja cieszyłam się bardzo. Urządziłyśmy sobie pokój z baldachimem nad łózkami. W stołowym pokoju odrabialiśmy lekcje. Jakie było zdziwienie, kiedy za kilka dni zadzwonił telefon i dowiedziałyśmy się, że mama otrzymała propozycję pracy u swojej koleżanki, o którą to pracę wcale nie zabiegała. Bardzo się ucieszyła i rozpoczęła ją z dobrymi zarobkami. Standard życia wyraźnie się poprawił. Roma przyniosła ze sobą szczęście. Żyliśmy dobrze, tato czasem musiał gotować, ale robił to doskonale. Dlatego też tak bardzo mnie zabolalo, kiedy ugotował zupę ogórkową, a Roma po spróbowaniu wstała, wzięła talerz i wylała zupę do toalety. Zła, zapytałam: – *dlaczego to zrobiłaś?* Odpowiedziała: – *nie smakuje mi.* Pomyślałam, że być może, najadła się przed obiadem słodczy, które uwielbiała i nie była głodna, ale mogła to grzeczniej załatwić. Czasem też jadła słodczy w nocy, a zdradzały ją puste pudełka, które zostawiała pod łóżkiem. Nie obchodziło jej co czują inni ludzie, była w dużym stopniu pozbawiona współodczuwania i umiejętności dzielenia się.

Mój wrażliwy ojciec wyszedł z kuchni upokorzony, czego nie mogłam jej darować.

Wraz z przybyciem Romy dom się zmienił. Przychodzili do nas koledzy, koleżanki a i my wychodziłyśmy częściej. Najchętniej do „Relaxu”, aby spożytkować na parkiecie energię rozpieszczającej nas radości i młodości. Razem chodziłyśmy do szkoły i na praktykę. W tym czasie Roma zamieniła, z pomocą dobrych ludzi, stare mieszkanie na garsonierę w nowo budowanym osiedlu zabobrzańskim. Z czasem ją sobie urządziła. Powoli zbliżałyśmy się do matury. Obie uczyłyśmy się średnio. Całą rodziną jeździliśmy na spotkania rodzinne i świąteczne do babci Anieli do Katowic, gdzie spotykaliśmy się z licznymi krewnymi, którzy od razu przyjęli Romę, jak dawno nie widzianą córkę. Jeden z wujków grał pięknie na fortepianie, a cała umuzykalniona rodzina, śpiewając piosenki, których nauczyła nas babcia i mama, bawiła się kilka dni w cudownej atmosferze bliskości rodzinnej. Tańce, przebierania, wygłupy i konkursy cieszyły nasze serca. Pamiętam, jak na jednym z przyjęć schowałyśmy kilka butelek alkoholu do nie używanego, a bardzo ozdobnego pieca. Kiedy biesiadnicy mieli już w czubach i byli nieszczęśliwi widząc brak „wody rozmownej”, wraz z Romą sprzedawałyśmy im schowany towar po znacznie zawyżonej cenie. Z wielkim sentymentem wracam do tych chwil .

Jak już wspomniałam, nieubłaganie zbliżała się matura. Tato codziennie „męczył” nas korepetycjami z matematyki. Język polski i Wiadomości o świecie współczesnym powtarzałyśmy same. Często... leżąc na trawie za domem. Jedna z sąsiadek powiedziała mojej mamie: – *proszę pani, jak te pani dziewczyny zdadzą maturę, opalając się, to mnie kaktus na głowie wyrośnie.* Czasem też szłyśmy na basen, by ochłodzić się z nadmiaru wiedzy, ale obie

zdałyśmy maturę bardzo dobrze, a sąsiadce kaktus na głowie nie wyrósł. Na wakacje pojechaliśmy do Warszawy, aby w nagrodę kupić sobie buty i w tym samym kolorze torebki-kufferki. W stolicy ciocia zostawiła nam na Mokotowie mieszkanie do dyspozycji na okres dwóch tygodni. Odwiedziliśmy wiele sklepów i kawiarni. Szczególnie pozostała mi w pamięci kawiarnia „Marzenie”, gdzie były wspaniałe lody. Roma należała do osób, które szybko się nudziły, a takie ambitne nie byłyśmy, by piękne lato spędzać w muzeach. Tak więc po głębokim namyśle co z sobą zrobić, odwiedziliśmy wujka księdza w klasztorze franciszkańskim na ulicy Zakroczymskiej. Wujek był najmłodszym bratem mojego taty i miał 30 lat. Jak pojawił się w rozmównicy i zobaczył nas, mocno spąsował. Dwie siedemnastolatki w klasztorze to nie codzienność. Jeszcze Roma, ciekawa wszystkiego, musiała zajrzeć tam, gdzie nie wolno nikomu wchodzić, czyli do klauzury. Wujek się przestraszył, rozglądał się, czy ktoś nie widzi, zwyczajnie bał się ewentualnego skarcenia przez swoich przełożonych.

Nie bardzo wiedział, co z nami zrobić, więc po krótkiej rozmowie wręczył nam pewną kwotę na potrzebne wydatki i odwiózł nas do babci pod Warszawę. Babcia zobaczyła błysk w oczach swojego syna, który ewidentnie był spowodowany urodą Romy i natychmiast wyprawiła go w drogę powrotną do klasztoru. Z babcią mieszkała ciocia, która była krawcową miała dobre serce i uległa naszym błaganiom by uszyć nam spodnie z materiału w „łączki”, Roma miała w „rumianki”, ja zaś w „malinki”. W tych modnych spodniach chodziłyśmy nad Wisłę. Babcia ręce załamywała, że na wsi pytają, dlaczego pozwala wnuczkom chodzić w piżamach po wsi i siać zgorzenie. Trochę nam się nudziło, więc wyjechaliśmy z powrotem do Warszawy i ponownie odwiedziliśmy wujka. Tym razem kupił nam bilety do Jeleniej Góry i wręczając po bombonierce czekoladek, czekał na odjazd naszego pociągu, by naocznie sprawdzić czy pociąg ruszył z nami. Zaopatrzone w czekoladki, nowe buty i torebki omawiałyśmy wyprawę. Wujek nie poskarżył się mojemu tacie o drobnej pikanterii związanej z obecnością Romy w klauzurze.

Po powrocie do domu, jak codziennie, spełniałyśmy swoje obowiązki, które zlecała nam mama, a popołudniami spotykałyśmy się z przyjaciółmi miło spędzając czas. Niebawem zaczynał się piąty rok naszej nauki, rok dyplomowy. Ja pozbyłam się już wszystkich negatywnych objawów, które niesie za sobą dojrzewanie, takich jak trądzik, przetłuszczanie włosów, czy też zła ocena swego wyglądu. Zauważyłam znacznie zwiększone zainteresowanie płci przeciwnej moją osobą. Grono znajomych poszerzało się, a ja nawiązywałam z nimi coraz śmielsze relacje. Dodać muszę, że bardzo duży udział w tym miała mama, która dbała o to, bym była dobrze ubrana czy modnie uczesana.

Lubiłam wygłupki, dowcipy, robienie kawałów, ale nie kosztem cierpienia ludzi. Tak, jak nigdy nie znosiłam dowcipów, dotyczących Boga, które napawały mnie niesmakiem. Chociaż tylko czasem chodziłam do kościoła, istniały dla mnie rzeczy nienaruszalne.

W piątej klasie miałyśmy tylko przedmioty zawodowe i praktyki szpitalne. Jeżeli pielęgniarka chce pełnić dobrze swój zawód, musi wiedzieć, że to ona jest dla pacjentów, a nie pacjenci dla niej.

Były to czasy gotowania sprzętu medycznego. Jednorazowy sprzęt, pampersy, dzisiejsze wyposażenie nie istniało nawet w naszej wyobraźni. Byłyśmy ćwiczone tak, że nie jedna płakała w kącie .

Przed dyplomem pojechałyśmy z całą klasą na wycieczkę do Krakowa. Zwiedzałyśmy zabytki, zaplanowane przez nauczycieli. Ogromne piękne, tętniące życiem miasto ze swoimi skarbami i tajemnicami.. Małe uliczki, odchodzące od rynku objawiały nam najnowszą modę. Kupiłyśmy sobie z Romą cudowne, bajecznie drogie buty, które były z fantazyjnie plecionych pasków, zapinane tuż pod kolaniem. Ja miałam błękitne, ona zaś różowe. Oczami wyobraźni widziałyśmy siebie w pracy w fartuszkach, specjalnie na tę okazję szytych i unikalnych butach.

W końcu dotrwałyśmy do dnia zdawania egzaminu dyplomowego. Z ogromnym lękiem podchodziłyśmy do losowania. Każda chciała wylosować swój ulubiony oddział. Udało się. Zdałyśmy!!! Pobiegłyśmy do mamy, która czekała z niecierpliwością, aby jej oznajmić, że jesteśmy już prawdziwymi pielęgniarkami. Bal dyplomowy odbył się w Szklarskiej Porębie w motelu u Parylaka. To miejsce było niezwykle energetyczne. Ciągnęli tam goście z całej okolicy. Dziewczyny w dowolnie wybranych kreacjach wraz ze swoimi partnerami bawiły się do białego świtu. Ach, co to był za bal ! Pierwszy, dorosły bal.

4 września rozpoczęłyśmy pracę w szpitalu na izbie przyjęć. Izba przyjęć, to na owe czasy taki mały dzisiejszy „SOR”. Przywieziony pacjent był badany przez wezwanego przez nas specjalistę, otrzymywał pomoc lub był zakwalifikowany do położenia na oddział. Bardzo lubiłyśmy tę pracę. Stały kontakt z ludźmi, z lekarzami pogłębiał naszą wiedzę i umiejętności radzenia sobie w różnych trudnych sytuacjach.

Atmosfera w pracy była niezwykle przyjazna, co przekładało się na chęć przychodzenia do niej i przyjemność jej wykonywania. Oczywiście, miałyśmy ulubionych lekarzy, co jest naturalne i dzisiaj. Nasz piękny strój, przygotowany na rozpoczęcie pracy, przyciągał uwagę. Mama wstawała o 5-tej rano, by wyczesać wspaniałe koki na naszych głowach.



Po roku pracy obie zakochałyśmy się. W ciągu dwóch lat najpierw ja, później Roma wyszłyśmy za mąż. Mąż Romy pochodził z Krakowa i tam moja przyjaciółka siostrzana lub siostra przyjacielska, jak ona nas określa ułożyła sobie życie. Ja pozostałam w ukochanej Jeleniej Górze i dalej pracowałam w szpitalu.

Po dwóch latach urodziłam syna. Zostawiłam małego pod opieką mamy i razem z Romą, będącą w piątym miesiącu ciąży i naszymi mężami pojechaliśmy w 1973 roku na 21-dniową wycieczkę do Turcji.

Jechaliśmy z Polskiego Związku Motorowego w jedenaście samochodów na podzieloną etapami wyprawę. Długa podróż wiodła przez Medykę i całą Ukrainę. Tamtejszy Lwów przywitał nas biedą i wszechogarniającą szarością. Jechaliśmy przez smutną Ukrainę wytyczoną trasą, spotykając co jakiś czas wieżyczki, z pilnującymi trasy żołnierzami. Każdy etap kończył się obiadowaniem i noclegiem w hotelu. Po drodze robiliśmy sobie przerwy na rozmowy, wypoczynek, wypicie kawy i „szczeniaczka” czyli 25g Pliski. Następnym krajem była Rumunia, gdzie wszędzie witały nas dzieci, spragnione słodczy. W Bułgarii zatrzymaliśmy się na 9 dni w Słonecznym Brzegu, opalając się i oddychając tym przedziwnym mikroklimatem z jakiego słynie ten kraj. Zwiedzaliśmy zabytki wraz ze słynną wyspą Nesseber, bawiliśmy się w knajpkach, a w tawernie na plaży obchodziliśmy imieniny naszego pilota Jana, tańcząc nawet na stołach. Całe towarzystwo z jedenastu samochodów było niezwykle zgrane. Na okres wycieczki byliśmy jedną wielką rodziną. Bawiliśmy się wraz z Niemcami, Holendrami i innymi obcokrajowcami wspaniale.

Zmęczeni plażą i zabawą odpoczywaliśmy w hotelu na 7 piętrze, gdzie na tarasach łapałyśmy ostatnie promienie zachodzącego słońca. Nasi mężowie bardzo polubili się, byli weseli i w znakomitych humorach. Więż zacieśniała się. Wspólne przebywanie 24 godziny na dobę nie przeszkadzało nam. Byliśmy szczęśliwi. Nadszedł czas wyjazdu z Bułgarii. Przez granicę bułgarsko-turecką krętymi drogami przejechaliśmy do Edirne i wreszcie do tak oczekiwanego Istambułu. Istambuł, miasto które nigdy nie śpi, miejsce niepowtarzalnych zabytków, uśmiechniętych, radosnych i życzliwych ludzi, krzyków i kakofonii przedziwnych dźwięków. W tym mieście, jedynym w swoim rodzaju, zwiedzaliśmy monumentalną Hagię Sophię, Błękitny Meczet, Pałac Topkapi – najwyższy zamek w Turcji, który był siedzibą osmańskich sułtanów. Podziwialiśmy strzeliste minarety rozsiane w całym Istambule.

Bazar Kapalicarsi był dla nas, młodych kobiet jak sklep z zabawkami dla dziecka. Tam, gdzie się kończył, tam też się zaczynał. W jednym z jubilerskich sklepów z numerem „oczka” poznałyśmy przemilego Turka, którego oczarowała uroda mojej siostry przyjacielskiej mimo, iż nosiła pod sercem dzieciątko. Roma znalazła miejsce w sercu

Ibrahima. Mąż jej był bardzo zły i zazdrosny, patrząc na zaloty przystojnego Iba. On zaś zapraszał nas do oryginalnych restauracji, usytuowanych na czarnych wodach morza Marmara, na dyskotekę do Hiltona, prowadził do dobrych sklepów na szalone zakupy po przystępnych cenach. W Turcji każdy odkryje w sobie talent targowania się.

To cudowna i wciągająca zabawa. Ibo był smutny bo nie mógł zabrać Romy na jedną w Wysp Książęcych Stambułu i pokazać swoim rodzicom. To był cudowny czas beztroski, wolności i wspólnej radości. Czas splatający nas, w którym uczyliśmy się siebie. 21 dni minęło szybko. Wracaliśmy do domu obładowani prezentami, zakupami, jakie w Polsce nie były nawet w sferze marzeń. Mnie i Romę szczególnie cieszyły przepiękne dziecięce ubranka. Ibrahim podarował nam po pudełku galaretek w cukrze – lokum i z mokrymi oczami żegnał się, obiecując odwiedziny w Polsce. Dotrzymał słowa i po dwóch latach pojawił się w Krakowie, przywożąc nam w prezencie piękne kozuchy. Był również w Jeleniej Górze. W Karpaczu w Patrii bawiliśmy się do białego rana, gdzie orkiestra grała na życzenie Ibrahima niezliczoną ilość razy piosenkę „Moja droga ja cię kocham”.

Powrót do Polski wiódł tymi samymi etapami. Szczęśliwi, zmęczeni i stęsknieni żegnaliśmy się ze znajomymi z wyprawy. Rozjeżdżaliśmy się we wszystkie strony Polski.

I tak będąc w stałym kontakcie telefonicznym wiedliśmy swoje życie. Roma urodziła piękną córeczkę, a moja mama wraz z babcią Anielą pojechały na dłuższe odwiedziny zobaczyć wnuczkę. Na święta Bożego Narodzenia Roma przyjechała wraz z rodziną do Jeleniej Góry. I znowu spotykaliśmy się z krewnymi, ale już w mniejszym gronie, kołędując i ciesząc się sobą. Spotykaliśmy się dalej w Katowicach w powiększonej rodzinie o małych prawnuczków babci Anieli. Po dwóch latach Roma urodziła drugą córkę. Ja pracowałam i wychowywałam syna. Uwielbiałam swoją pracę. Moim mistrzem był starszy dr chirurg, który nauczył mnie tak bardzo dużo z „rzemiosła,” jakim jest chirurgia, że nie wyobrażałam siebie w innym zawodzie.

I wtedy pojawiła się koleżanka, która poprosiła mnie bym razem z nią złożyła stosowne papiery na studia zaoczne, by było jej rażniej przystąpić do egzaminu. Los chciał, że ja się dostałam, ona nie.

Trudno było odrzucić taką szansę. To jednak nie był dobry wybór. Skończyłam studia ciężko pracując, wychowując dziecko i prowadząc normalny dom. Moim powołaniem było zawsze pielęgniarstwo. To kochałam.

Po studiach urodziłam drugiego syna. Był to niezwykle trudny okres i w sensie fizycznym i psychicznym. Nasze stosunki z Romą rozluźniły się nieco. Obie byłyśmy zajęte swoim życiem. Wtedy też zachorował mąż siostry-przyjaciółki. Mój mąż, jako jego przyjaciel wiózł

go do Niemiec, na wcześniej ustaloną operację przeszczepu wątroby. Niestety, w drodze zasłabł i zmarł w szpitalu w Niemczech. Roma została z dwiema córkami. Byłam z nią w tych trudnych chwilach. W krótkim czasie dziewczyny skończyły studia. Mój starszy syn też już był po studiach. By trochę wypocząć wyjechałyśmy do sanatorium w Piwnicznej, gdzie spacerując malowniczymi trasami, wspominałyśmy naszą wspaniałą młodość, pełną nietuzinkowych wydarzeń. Na chwilę powracała energia tamtych lat, w których nie było miejsca na zamartwianie się, a tylko radość istnienia.

Widać życie nie lubi próżni, bo za kilka lat pochowałam 44-letnią młodszą siostrę. Dziesięć lat po odejściu swojego przyjaciela dołączył do niego mój mąż, zostawiając mnie z dwoma synami. Nasz kontakt z Romą znowu się nieco rozluźnił. Musiałam się opiekować wiekową mamą, która wraz z upływem czasu była coraz trudniejsza. Kiedy odeszła, mogłam znowu pomyśleć o sobie.

Dzisiaj mamy dzieci, wnuki i... siebie. Niemal codziennie prowadzimy konferencje telefoniczne, razem się cieszymy i razem smucimy. Jak to matki, czasem narzekamy na swoje dzieci, innym razem chwalimy je. Jeździmy razem do sanatorium i na urlopy. Życie jakby zatoczyło koło. Dwukrotnie odwiedziłyśmy Turcję wiedząc, że wszystko możemy, a nic nie musimy, ze świadomością, że jesteśmy wolne, beztroskie jak za czasów młodości. Zdajemy sobie sprawę, że autostrada naszego życia coraz bardziej zawęża się. Lekcje te dobre i te złe zostały odrobione w doskonaleniu się. Mamy świadomość, iż życie to pasmo wyborów. Wiemy też, że nie ma w nim przypadków. Wszystko jest łańcuchem zdarzeń, sekwencją, czyli szeregowym układem, gdzie rzeczy idą w porządku logicznym.